PRZYGODA
SZEKSPIRA
— 1593. —
(Z dzieł Alfonsa Brot).
(Dokończenie)

II.

O czwartéj z rana William przebudził się na odgłos okrzyków i trąb, a te okrzyki i trąby zwiastowały uroczystość miastu, Królowa Elżbieta powracała. Wszędzie, po rogach ulic, po szynkach, porozstawiano stoły, a na nich ogromne butle porteru. Wszędzie rozlegały się piosnki, wesołe żarty; wszędzie imie Elżbiety mięszało się z toastami, a dnia tego powietrze miłém było do oddychania, niebo przyjemne dla oka, zdawało się że i ziemia i powietrze podzielały miłość, którą Anglia tchnęła dla swéj monarchini.

Wonne kwiaty bruk wyściełały, kosztowne kobierce zdobiły mury.

W oknach pełno było kobiét z wypogodzoną twarzą, starców, patrzących wytężonem okiem czy nie postrzegą zdala orszaku Królowéj, nadstawiających ucho na najmniejszy łoskot, najmnieszy krzyk, najlżejsze zarżenie koni; wesołych dzieci, szczęśliwych że wszystko w około nich oddychało szczęściem; wykrzykujących radośnie: Niech żyje Królowa Elżbieta!

Gruppy pijaków zasiadły od dawna stoły Jeśpana Marcina, szynkarza officerów Królowéj; a pijący tak rześko spełniali puchary, że karczmarz już zajmował się w nadziei

nowém zaopatrzeniem piwnicy, i tak się wdzięcznie uśmiechał, że aż zazdrość brała. Staruszka bez zębna, z twarzą pożółkłą, pomarszczoną jak stary pargamin, głosem drżącym, zbliżyła się do pijących i ofiarowała ciągnąc im karty.

Przyjął ją okrzyk wstrętu i pogardy.

Niezraziła się jednak stara, i nalegała tém uporczywiéj.

— Cyganko,—odezwał się wówczas tragarz olbrzymiéj postawy, silny i barczysty, —cyganko, chodź tu, sprobuję; dostaniesz szeling jeśli powiesz prawdę, a dobrą połajankę jak skłamiesz. No, daléj stara, bez tych grymasów i przymrużeń oczu . . . zbliż-że się, słucham.

I podał jéj rękę z pewnością całkiem angielską. Stara przypatrzywszy się jéj bacznie, rzekła:

— Mój panie, dla czegóż to żonę samą w domu zostawiasz? Poco doświadczać jéj wierności? Mój panie, wracaj co prędzéj do siebie, albo, na moją duszę, a i ja przecie mam duszę, djabeł wmięsza się do twego gospodarstwa;— i do słów tych dodała śmiech tak przerażający, iż każdy odwrócił się ze zgrozą.

Krew wybiła na twarz tragarza.

— Mości panie, a co, czym ci prawdę powiedziała? Zajadłe rzucił na nią spojrzenie i wybiegł z karczmy.

— A mój szeling, Mości panie? mój szeling?

— Zginiesz z mojéj ręki, czarownico, posłanko piekła, żono szatana.

Rzucił się na nią, pochwycił i trzykroć młynka nią wykręcił.

Cyganka potoczyła się o dziesięć kroków po za stoły. A wszyscy śmiać się zaczeli z jéj narzekań.

— Pomszczę ją!—wykrzyknął jeden głos.

— Tak, pomścij mnie, kawalerze! — powtórzyła stara, ten człowiek żądał odemnie prawdy, i tak mi za nią zapłacił... Patrz oto krew!

— Pomszczę ją, pomszczę! — pomruknął jeszcze głos nieznany.

— Pomścimy ją! — odpowiedziało pięćdziesiąt osób.

— A ja staję w obronie Andrzeja.

— A ja roztrzaskam łeb temu, ktokolwiek rękę na niego podniesie.

— I ja, i ja, i ja!

Groźby nastąpiły po słowach, giesta po groźbach, uderzenia po gestach; lało się wino, padały ławki, trzeszczały stoły.

I wszyscy przeraźliwie krzyczeli. A biedny karczmarz Marcin, rozpaczał, darł sobie włosy.

Kilku żołnierzy chciało uspokoić zamięszanie. Lecz walka trwała ciągle...

Zwiększały się tłumy, duszono się, krzyczano; każdy chciał widzieć, mówić, nikt nie chciał słuchać.

Wówczas mężczyzna jakiś przedarł się przez nacisk walczących i dumnie nakazał im przestać.

Mężczyzna ten takową tchnął powagą, iż wielu z najzaciętszych wstrzymało się.

— I któż jesteś, Mości rycerzu, że tak śmiało wydajesz rozkazy? — krzyknął na niego jeden z walczących, z pobitą i zakrwawioną twarzą: — i któż taki jesteś?

— William Szekspir.

A to nazwisko tak głośne w całéj Anglii, rozeszło się jak iskra i najgłębsze milczenie nastąpiło po wrzawie. Tłum się całkiem uspokoił.

Rzucony pośród tych ludzi, Szekspir wydawał się bóstwem. Szlachetnie użył szczytnéj téj potęgi.

— Orszak! orszak się zbliża!—ze wszystkich stron krzyknięto.

I dały się słyszeć tęnt i rżenia koni, turkot powozów, okrzyki ludu.

I tłumy wybiegły na powitanie Królowéj. W kilka chwil późniéj Królowa przejeżdżała w karecie, otoczona officerami i szlachtą o dumnéj postawie o iskrzących broniach. Elżbieta ukazała się na chwilę przez portierę i z powagą do niéj wyłącznie należącą, oddała pokłon tłumom.

Jednozgodny okrzyk ze wszystkich ust się wydarł. Sam William był gotów uledz powszechnemu uniesieniu i podobnie jak inni głośno krzyczeć: Niech żyje Królowa Elżbieta! lecz w powozie jadącym za Królową postrzegł kobiétę — była to Marszałkowa Chabert, którą widział u Księcia Broghill, uśmiechała się czarodziejsko w téj chwili do młodego pazia wytwornie ustrojonego, który jechał obok powozu na koniu błyszczącym złotemi rzędy.

Paź obrócił się do jednego z pospólstwa zbliżającego się ku niemu, a William krzyknął, . . . i odpychając otaczających, pochwycił konia za cugle i zatrzymał pazia.

— Czy poznajesz mnie?—spytał.

— Poznaję, panie poeto,—odpowiedział mu paź, biorąc go za rękę i uprzejmie ściskając.

— Posłuchaj mnie, paziu Królowéj: poświęć mi godzinę, bo koniecznie muszę mówić z tobą.

— Williamie chciałbym z duszy.

— I musisz chcieć: czy nie pojmujesz że nasza rozmowa stanie się dla mnie najwyższą szczęśliwością lub nędzą bez

granic! Nie! ty tego niepojmujesz: ty nieumiesz czytać w głosie, w spojrzeniu; nie wykrywasz uniesień miłości lub zemsty, życia lub śmierci, zjednego poruszenia, zjednego zadrżenia; nie, nie, ty tego nierozumiesz; inaczéj byłbyśmi już powiedział: Idę ztobą, Williamie idę.

— I gdzież pójdziemy?

— Gdzie zechcesz; każde miejsce dogodne dla mnie, byleby tylko było niebo nad nami, byleby było powietrze do oddychania i nikt ciekawy nas nie podsłuchał. Co mnie obchodzi miejsce, karczma, salon, ulica czy pałac? jednę mam tylko wolę, rozmówić się ztobą.

— Pójdź więc zemną do mego mieszkania w królewskim pałacu.

Poszli. William gwałtownie drzwi zatrzasnął i konwulsyjnie ściskając za ramie pazia:

— Młodzieńcze, tyś to mnie zaprowadził do Windsor, wiem o tém... Zkimże mówiłem?... Milczysz: na honor, wszystko wykryć mi musisz.

— To nie moja tajemnica.

— Nie twoja tajemnica... Lecz męczarnie co mnie udręczały od téj chwili, rozpacz co mnie zabija, i zabierze ze świata przedwcześnie; lecz cała przyszłość przedemną otwarta, należąca do mojego wieku, a która wraz ze mną zgaśnie, cóż o tém myślisz? Masz że prawo wziąść człowieka za rękę, poprowadzić go przed kobiétę, rzucić tę kobiétę wjego objęcia i powiedzieć jéj: Mistress, pozwól się kochać; gdy namiętność rzuci tego człowieka do nóg twoich, gdy wulkan wpiersiach jego zapali, oddalę go od ciebie, aby życie jego napawało się ciągłą zgryzotą, aby mu go zatruły gorzkie wspomnienia, aby codziennie, przez

wszystkie dni swego życia budził się zawstydzony i nędzny, aby gasnął każdéj godziny!

— To nie moja tajemnica.

— Jakżeż więc mogłeś przyjmować ją na siebie? Jesteś młody, masz serce co bije pod temi hafty, pod tym aksamitem; kochasz może... Ach! jakże mogłeś przyjmować na siebie tak ciężką tajemnicę?

— Przymuszono mnie.

— Przymuszono cię? Ach to musi być jakaś potężna pani..., może jaka dworska dama...; jedna z owych dam co sobie ze wszystkiego igraszkę czynią, co wszystko poświęcają kaprysowi, własny swój honor, honor swych mężów, spokojność poety...!

Ach! tak, to wielka być musi dama: przypominam sobie ową wonność rozlaną w około niéj jak obłok, ten głos tak dzwienczny, tak miły, ten dobór wyrazów; ach! powiedz, powiedz mi jéj imie! a przysięgam ci, na piekło, którego płomienie już mnie pożerają, na te herby na piersiach twoich wyszyte, na niebo, co mnie widzi, na Boga co mnie słyszy... niemy będę jak trumna! lecz przez litość, powiedz mi jaką kobiétę widziałem w Windsor; mów, mów, wszak widzisz że głowa moja się obłąkuje, mięszają się myśli, że pałam, że kocham...

— Nie mogę.

— Wówczas pochwyć za szpadę, jak ja chwytam moją; znudziłem się już błaganiem, pochwyć za szpadę, bo ci odpłacę wszystko złe, któreś mi uczynił, bo rozszarpię twe piersi, bo cię głośno nazwę podłym!...

— Williamie, Williamie, głowa twoja obłąkuje się!

— A ciebie opuszcza odwaga!...

— Williamie, zastanów się, przez litość...

— Nie chcę mieć litości!...

— Nazbyt tego, Mości panie...

— Broń się więc!... będziemy się potykać dopóki jeden z naś trupem nie padnie.

Szczęk dał się słyszeć... dwie klingi błyskały przez chwilę.

Wkrótce jedna szpada rozprysła się w sztuki. Była to szpada pazia.

— Mości panie, mógłbym cię zabić; lituję się nad tobą, bo kochasz.

I William schował szpadę do pochwy; potém gotował się wyjść.

— Posłuchaj, panie poeto, posłuchaj...

— Jużem ci wszystko powiedział. Bywaj zdrów...

— Pozostań: chcesz wiedzieć imie damy co ci się ukazała w ogrodach Windsorskich?

— Tak, tak, ale mów co prędzéj.

— Jestto szlachetna dama.

— Jéj imie?

— Gdybym go wyrzekł, padłbyś na kolana.

— Jéj imie, jéj imie?

...Wielki łoskot dał się słyszeć za drzwiami.

— Otwórz! — zawołał głos ze dworu.

— Nie otwieraj, nie otwieraj! — rzekł Szekspir. A Paź mimowolnie ku drzwiom postąpił.

— Pierwéj jéj imie, jéj imie, młodzieńcze?

— Królowa Elżbieta przyzywa cię natychmiast, — mówił daléj tenże sam głos ze dworu; potém dodał ciszéj: — Marszałkowa jest przy niéj.

— Marszałkowa! — powtórzył paź, i oczy jego zaiskrzyły się.

— Imie damy co mi się zjawiła w ogrodzie Windsorskim.

— Jéj imie?... na słowo, dowiesz się o niém; lecz teraz Królowa i przedmiot moich myśli czekają na mnie, panie poeto.

— Nic więcéj tylko jéj imie, jéj imie! a błogosławić cię będę, bo po Bogu ty mi drugie nadasz życie, życie pełne najczystszéj słodyczy; ono do ciebie należeć będzie, a jeśli kiedykolwiek potrzebować będziesz brata, na którego łono mógłbyś wylać troski twoje, lub zwierzyć marzenia szczęścia; jeśli potrzebować będziesz ramienia na obronę twego honoru, kochanki, serce moje i ramie zawsze będą tobie poświęcone; tylko przez litość, powiedz mi jéj imie!

— Lecz gdybym go wymówił, zanadto głośno rozległoby się tutaj.

— Co to szkodzi?

— Lecz każda wymówiona syllaba tego imienia pociągnęłaby za sobą śmierć jednego człowieka.

— Czy lękasz się, młodzieńcze? lub czy zapominasz że ta tajemnica już do ciebie nie należy, że jest moją, że twoje milczenie staje się krzywoprzysięstwem, a to krzywoprzysięstwo hańbą?

— Henryku, Królowa na ciebie czeka, — powtórzył tenże sam głos ze dworu.

— Idę natychmiast.

I paź gwałtownie drzwi otworzył. Kapitan gwardyi pociągnął go za sobą.

Szekspir nie oddychał, nie żył, dusza jego była zgromiona.

III.

— Brawo! Williamie, — wołali we dwa lata później panowie angielscy, — brawo Williamie krzyczał tłum niespokojny: — Brawo! Williamie, — powtarzały tysiączne echa teatru. I Szekspir złudzony wierzył w sławę, wierzył w życie bez końca, mające nastąpić po życiu ziemskiém: a uniesieni aktorowie w dawne cofnęli się wieki, zmienili namiętności i duszę, aby przywdziać namiętności i duszę osób trajedyi Hamleta.

Klaudyusz nie był płatnym aktorem, co ustępuje poecie swój zapał i głos donośny. Było Klaudyusz Król Duński, z całą swą nikczemnością i dumą; Klaudyusz z piętnem niesławy na sercu, i wielką myślą co mu mózg trawiła.

Aktorowie, aktorki zapełniali scenę, zalewali słuchaczy szczytnemi wyrazy i zdawali się być tłumem widm wyszłych z pod grobowych kamieni, aby przedstawić żyjącym pokoleniom starożytny ustęp dziejów Duńskich.

Dramat zbliżał się do swego rozwiązania. Klaudyusz zasiadł na swym tronie, w około niego były stoły, w około tych stołów służalce; a potém Hamlet, Laertes z mieczami w ręku; daléj Królowa, jéj damy, panowie; daléj jeszcze widze pełni podziwienia. I Król Klaudyusz zawołał: — Postawcie flasze z winem na tym stole. — a Hamlet rzekł do Laerta: — Daléj, miéj się na baczności! — Jestem gotów, — odpowiedział Laertes. I obaj się bili, i Hamlet ranił swego przeciwnika. Potém nastąpił koniec dramatu, straszny i surowy, jak wam wiadomo.

Zapadła kurtyna, i widzowie wyskakując ze swoich siedzeń, ogarnęli salę i przed zadziwione oczy tłumu wznieśli Szekspira, poważnego i surowego nawet pośród tryumfu.

26

Wówczas głębokie milczenie zesląpiło ze sklepień teatralnych na całą przestrzeń, każdy zebrał swe myśli i z religijném poszanowaniem oddał cześć wielkiemu człowiekowi, wznoszącemu się po nad mnóstwem, jak cały wiek chwały, jak cała era jeniuszu!

A Królowa Elżbieta chcąc okazać, że wszystko co jest wielkim w równi z berłem postępuje, najuprzejmiejszy ukłon przesłała Szekspirowi.

A potém, na jéj skinienie, kapitan gwardyi wyszedł z loży królewskiéj i oświadczył poecie iż Elżbieta, podziwicielka sztuk pięknych, raczyła mu nazajutrz dozwolić posłuchania.

Ileż szczęścia dla biednego Williama gdyby był umarł w téj chwili! Wielka Królowa byłaby go pewnie opłakiwała, a jedna jéj łza przewyższyłaby wszystkie poklaski ludu, podziwienie całéj Anglii, ubóstwienie jakie przyszłość mu obiecywała.

Nazajutrz, 14 Marca 1595 roku, był to dzień wielkiego przyjęcia u dworu; Ambassador Francuzki pozyskał najwyższy zaszczyt zgiąć kolano przed Królową, wobec wszystkich angielskich rycerzy. Krzyki: *niech żyje Królowa Elżbieta!* rozlegały się jak echo bez końca. Windsor brzmiał odgłosami radości, a Królowa siedząc na tronie, odbierała wszystkie te hołdy, a jednak czoło jéj nie wypogadzało się pod blaskiem korony, serce jéj nie biło pod aksamitem i nieprzeliczonemi klejnoty. Wśród całego tego napływu uwielbień była obojętną i obumarłą.

— William Szekspir! — donośnym głosem wyrzekł herold.

— William! — mimowolnie powtórzyła Królowa; lekkie zadrzenie twarz jéj zmieniło; zapłoniła się prawie iż mogła wymówić z zajęciem, ona, Królowa Angielska, imie wassala.

Herold otworzył jedne z drzwi sali tronowéj, Szekspir miał już wejść.

— Oba odrzwi! Sir Eldworie, oba odrzwi! — zawołała Królowa; potém z większą dodała spokojnością: mniemacież abym ja protektorka sztuk nadobnych w Anglii, abym ja ścierpiała że szlachectwo pierwszeństwo ma nad jeniuszem, aby otwierano oba odrzwi mego pałacu na przyjęcie Lorda, gdy wielki człowiek miałby wchodzić jednemi! Gdyby szlachectwo nie bardziéj było dziedziczném jak jeniusz, któżby z was, wy panowie, czy Szekspir, śmiał nosić imie szlachcica?

W kilka chwil późniéj cały dwór był odprawiony, i Szekspir sam znajdował się z Królową, i Królowa surowym rzekła głosem:

— Niechaj cię próżność nie unosi dla słów któremi wyrzekła, chciałam tylko upokorzyć panów pyszniących się z długiego szeregu naddziadów, jak gdyby wszystkie pokolenia ze wspólnego nie wypływały źródła, jak gdyby stworzenie nie brało początku od stwórcy!

Zresztą, mimo próżności Książąt moich i parów, zawsze wyżéj cenić będę rękę władającą mieczem niż tę co wiedzie pióro, chociażby człowiek ten wyższym był nad innych ludzi.

Szekspir dumnie wzniósł głowę, już się roztwierały jego usta: miał może wbrew zaprzeczyć Królowéj.

Dodała z czarownym uśmiechem: — Jednakże pisarz, poeta, może niekiedy przewyższyć Księcia, Jenerała; Jenerał porusza tylko cząstką ludzi, urywkiem wojska, poeta niekiedy całe państwo porusza... świat cały... a głos jego, donośny jak głos samego Bóstwa, od wieku do wieku się rozlega.

Szekspir nagle zadrzał: wspomnienie paliło mu serce, mózg wysuszało!

Głos Królowéj przybrał zwykłą swą łagodność, dźwięk swój czarodziejski i zdawało się Williamowi, że nie pierwszy raz głos ten słyszy. — Zulietto! Zulietto! — wyrzekł mimowolnie. Elżbieta nawzajem zadrżała.

— Wyrzekłeś imie rozgłośne w całéj Anglii, Williamie; mające odgłos i w sercu mojém, — dodała ciszéj, a spojrzenia jéj badały spojrzenia Szekspira, śledziły najmniejszą zmianę w rysach jego twarzy, najmniejsze zadrzenie, westchnienie, myśli. Lecz próżne to było badanie, William w téj chwili zapomniał o swojéj miłości, aby pamiętać że jest człowiekiem, poetą.

Po krótkiém milczeniu, Elżbieta daléj mówiła, śmiejąc się: — Przyznaj, kochany Williamie, że wielkie jenjusze niekiedy są bardzo dziwaczne, że pragną czynić wrażenie, jak gdyby promienie otaczającéj ich chwały nie zmuszały tłumy do patrzenia na nich! I ty także chciałeś się odznaczyć, i dla tego.... zakochałeś się w twojéj Zuliecie.... i pozazdrościłeś biednemu Romeo.

— Bo sztuki nadobne, — odpowiedział Szekspir, — głębokie ślady zostawiają w sercu, bo myśli wychodząc z mózgu poety, wychodzą tak pałające jak gorący krwi wyziew! rozgłośne jak piorun Wszechmocnego! Bo poeta nim miłość rzuci w duszę swych bochaterów, sam już duszę swoją strawił w ognisku téj miłości; bo nim uczyniłem Romea zakochanym w Zuliecie, o Królowo Anglii! sam już zmysły tracił em dla mojéj Zulietty!....

— Dla Zulietty teatralnéj? — gorzko przerwała Elżbieta.

— Ach! potysiąc razy nie! — zawołał wielki człowiek, — po tysiąc razy nie! lecz dla mojéj, mojéj Zulietty; dla córki mojéj; dla mego anioła; dla Zulietty któréj powtórne nadałem życie, bardziéj ognistéj jak teatralna, czystszéj jak historyczna, mniéj jednak szczytnéj jak ta co mi się objawiła w królewskich ogrodach Windsoru.

— Milcz, Mości Panie, milcz, rozkazuję ci, jestem Królową Anglii!

— Wybacz Królowo, wybacz, jestto wspomnienie, drogie dwuletnie wspomnienie, tak zagubione, tak tajemnicze, iż wiecznie byłbym wątpił o tém co mi się wówczas wydarzyło, gdyby twój głos....

— Jeszcze raz milcz, powtórzyła Elżbieta.

— Nie, oszukałem się, — rzekł Szekspir, przesuwając rękę po czole, jakgdyby chciał nową jakąś myśl odegnać... oszukałem się, to już nie jest głos ogrodów Windsorskich;.... a potém, cóż za podobieństwo, aby kobieta, tak wysoko jak ty Pani umieszczona, zniżała się aż do schadzki z biednym Williamem, mówiła z nim o sztukach nadobnych, sławie, miłości, o tych rzeczach które anioł ukochany raz tylko w życiu nam szepcze, a o których się zawsze pamięta!.. nie, królowo, omyliłem się! — Williamie, opowiedzże mi tę dwunocną historyę, o któréj dwa lata pamiętałeś!...

— Zapominam kto jesteś, kto sam jestem, raj się przedemną roztwiera,.... teraz ty umilknij z kolei, posłyszałem znowu głos Windsorski! Elżbieto Angielska, lub raczéj, Zulietto ogrodów Windsorskich, miéj litość nad biednym Szekspirem!

— Szekspirze.... lub raczéj Williamie ogrodów Windsorskich, pierwszy poeto świata, miéj litość nad Elżbietą Angielską!

— Królowo, czegóż żądasz odemnie? tyś nademną litości nie miała, niemiałaś litości nad głęboką moją miłością, zapomniałaś o mnie, jak grób zapomina o zmarłych których w swym łonie mieści!...

— Zapomniałam o tobie Williamie, ja, co cię znowu oglądam pomimo obietnicy mojéj, i téj królewskiéj purpury co mnie okrywa?

— A w tym przeciągu dwóch lat, dwóch wieków raczéj, Elżbieto, pomyślałażeś kiedy o mnie, o mnie com cię tak gwałtownie kochał?....

— Williamie, uczyniłam niedostępném oczom ludzkim miejsce naszéj schadzki w ogrodzie Windsorskim!... a co, czy myślałam o tobie?....

— Ach! tak, więcéj niżelim śmiał się spodziewać; dzięki więc tobie, o! Królowo wielkiego ludu, żeś raczyła pamiętać o nędznym poddanym!

— Teraz najgorętsze twoje życzenie spełnioném zostało; ujrzałeś mnie znowu... żegnam cię, Williamie!

— Żegnam cię Elżbieto, Królowo Anglii i pierwsza pochodnio teraźniejszego świata; Bóg i Ty wiedzieć jedynie będziecie co się przytrafiło Szekspirowi w królewskich ogrodach Windsoru!......

POEZYA.

OBŁĄKANA.

Ja.

Huk grzmotów brzmi do koła,
Deszczu strumienie płyną
Tak daleko od sioła
Co tu robisz dziewczyno? —
Głowę twę zdobią kwiatki
I cyprys i bławatki,
Oko łyska marzeniem
I pierś pełna westchnieniem.

Ona.

Wszak piękna odzież moja —
Nieprawdaż dobry panie? —
Dobrze szyta, dobrze leży.
A w tych kwiatkach i odzieży,
Gdy stanę na kurchanie,
Gdy na nim złożę wianek
Z tych złocistych ostrudek
I modrych niezabudek,
To wybiegnie mój Janek
Z swego grobu ciemnicy ,
Ha! ha! on mnie czule ściśnie
Na moich ustach zawiśnie,
Z całuje łzę z źrenicy.

Ja.

Na Boga dziewczyno moja,
Jakże dziwna mowa twoja,

Wśród burzy na tle kurchana,
Dziewczyno, tyś obłąkana.

Ona.

Ja obłąkana paniczu,
Że tu tańcze na zgliczu,
Że w kwiatki się odziewam,
Wesołe piosnki śpiewam.
Tak tak — słyszałam ludzie
Moi krewni i krewne —
W zwykłéj sobie obłudzie,
Nieraz tocząc łzy rzewne,
Mowili do mnie i między sobą,
»Co się dziewcze robi z tobą,
»Całować ściany kurchana,
»Dalibóg — tyś obłąkana.«
— Oni mówili — ale ja zdrowa,
Ani mnie boli pierś — ani głowa,
Ni cierpienie ryje czoło. —
— Ja pędzę życie wesoło. —
Tak prawda czasem wyznaje,
Jakaś smutna myśl w méj głowie,
Och bardzo smutna staje,
Bo mnie się marzy, że tam w parowie,
Kiedyś, gdy brzask błysnął ranka,
Znaleziono mego Janka,
Że go płakała wieś cała,
Że i ja biedna płakała. —
I na tę myśl płaczę ślocham,
To me całe obłąkanie. —
Lecz Janek żyje — bo ja go kocham —

Nieprawdaż dobry mój — panie?
— A tu gawiedź mi woła!
»Wróć się dziewczyno do sioła,
»Pędź porządnie życia chwile,
»Bo kto spoczoł w mogile —
»Tego ani krewni, krewne,
»Ni kochanki całą rzeszą,
»Nieobudzą — niewskrzeszą.«

Ja.

Tak próżne ludzi gadania,
Gdy serce z sercem zestrzeli,
I cóż urok kochania,
Rozerwie, rozdzieli?

Ona.

W twoich oczach łza błyska
Mój kochany paniczu,
Za tę łzę Jaś cię uściska,
Ach on tam, widzisz na zgliczu,
Tam on zbiera piękne kwiatki,
Pół dla mnie, pół dla matki. —

Ja.

Wicher syczy, zawierucha,
— Nigdzie żywego ducha
Zawierz mnie dziewcze, wszak z oka, z czoła,
Jasno że i ja poznasz nieszczęśliwy,
A gdy nieszczęście, dwa serca w ogniwy,
Zbije, to choć stan, chociaż płeć rozdziela,
Jedno wynajdzie w drugim przyjaciela.
Ja cię powiodę do sioła.

Ona.

Do sioła chcesz powieść panie,
Ja tam sama iść chciałam
Bo dawno — jeszcze rano słyszałam.
Głos matki, służby wołanie,
Ale mój Janek — nie — nie — nie mogę,
On mnie tu schadzkę naznaczył,
A gdyby spojrzał na drogę,
I mnie z tobą zobaczył. —
Gniewałby się na nas dwoje,
Bo choć mnie czule kocha,
I zna dobrze serce moje,
Ale on zazdrośny trocha. —
— Lecz ja czas trawię na mowy,
A tam gdzie mały kurchanek,
Woła na mnie mój Janek, —
Otrzyj łzy twe i bądź zdrowy —
Bądź zdrowy — mój dobry panie.

Ja.

Odbiegła — biedna szalona
Biedna nieszczęsna — nieszczęsna! — dla czego?
Że ogromu cierpień swego,
Niezna, ni nieczuje. —
Że jéj wdzięczne kochanie,
Rajskie uroki snuje,
Nawet po zgonie wiernego kochanka.
A szalony, któż, czy ona,
Co od ranka, do ranka,
I szczęśliwa i wesoła
Na grobie kochanego, tańczyć śpiewać zdoła,

Czy ten, który w zwodnicze wplątawszy się sieci,
Zwodne mary ugania, za ułudą leci,
Zdarłszy dawne pamiątki, nie wierząc w nadzieję,
Bo zdrajczyni — zwodnicy, łez potoki leje..

A. Ba... K.

MODY.

LIST IV.

MATYLDA do LAURY.

Nareście minęła sławna przejaždzka do *Longchamps*, owego miejsca, gdzie się zbiera to wszystko, co tylko Paryž posiada najwykwintniejszego. *Longhamps* jest najpewniejszą skazówką letniego ubioru; dzienniki mody jedne nad drugie przesadzają się w opisach tegorocznego *rendez-vous*. Poczynię z nich niektóre wyciągi dla twego užytku droga Lauro; wstąžki najświeższe i najwykwintniejsze są z brzegami ažurowemi, wycinanemi lub strzępionemi, w deseniach *odrodzenia*. Kapelusze czyli raczéj kapotki jedwabne koloru róžowego, lila lub blado zielonego, których cały brzeg ronda obszyty koronką spadającą až do tyłu, są najwziętsze i nader odznaczające się. Co do sukien te są z muślinu wełnianego i noszą się na rogówkach, lub ztkaniny zwanéj *Spouliné*, nader miękiéj, lekkiéj, która nigdy się nieszarza, połącza ona w sobie połysk atłasu z świeżością muślinu. Nader užywaną jest także tkanina *ibis;* na ciemnym jéj tle rzucane desenie róžnych kolorów, są broszowane z taką dokładnością, že možnaby powiedzieć, že to jest w najpiękniej-

szym odcieniowaniu haft atłaskową robotą wykonany. Na tle zaś jasno niebieskim, te desenie, broszowane pąsowo, zielono lub ciemno, nadzwyczajnie się odznaczają i przy mantylce lub bercie tworzą nader pyszne ubranie.—Co do ubioru męzkiego, materya *popelin* najużywańszą jest na kamizelki, lecz i pika wdrobne desenie także się utrzymuje, kształt ich ten sam pozostaje, zawsze z kołnierzem wywiniętym w sposobie szalowym. Tużurki najmodniejsze są obcisłe, na jeden rzęd guzików, kołnierz u nich niski z tyłu, rozszerza się na piersiach i połącza się z rabatami wkształcie *V*. Takowe tużurki zawsze się noszą zapięte od dołu, na rano noszą także i o dwóch rzędach te się zapinają aż do saméj góry.

ADOLF NOURRIT

(Szkic-biograficzny).

Adolf Nourrit, urodził się w Montpellier 1802 roku. Ojciec jego sam znakomity śpiewak, zrażony przeszkodami trafiającemi się w pięknym lecz trudnym zawodzie artystycznym, przeznaczył syna swego do spokojniejszych i zyskowniejszych zatrudnień handlowych, dał mu wyborne wychowanie. W skutku czego Adolf, odesłany do kolegium Stéj Barbary, uczył się doskonale, muzykę nad którą z gorliwością pracował, zawsze uważając tylko jako rozrywkę. Ukończywszy kurs nauk, oddany został do handlu, już najpiękniejsza przyszłość przed nim się otwierała, gdy nareście artysta odniósł zwycięztwo nad kupcem. Usłyszał *Armidę* Glucka,

a harmonijne jéj tony nadzwyczajne na nim uczyniły wrażenie. Rola Renauda, którą ojciec jego oddawał z tak wielkim talentem, wykryła w Adolfie prawdziwe jego powołanie. Od téj chwili jéj wspomnienie ciągle się mieszało z jego rachunkami; łatwo pojąć jak nieszczęsny wpływ mogą mieć podobne roztargnienia na summowanie, postanowiono więc uledz życzeniom Adolfa. Porzucił kupiectwo od chwili w któréj wpływ tajemny, wywarł na nim swe działanie.

Sławny Garcyja był jego nauczycielem śpiewu; dzięki zdolnościom ucznia i talentowi professora, postępy Adolfa były nader szybkie. Dla tego też wkrótce myślano o chwili wystąpień jego, i Garcyja zachęcał do tego często swego ucznia. — Idź, mówił do niego, wejdź do opery; potrzebują oni aktorów i muzyków, a ty jesteś i jednym i drugim.

Miał słuszność Garcyja. Opera wówczas ulegała jeszcze téj metodzie deklamacyjnéj trajedyi lirycznéj, która wszystko poświęcała wyrażeniu dramatycznemu, a śpiew jéj niekiedy zastępowały krzyki. Nourrit miał zdziałać zupełną zmianę, trafnie połączając grę dramatyczną z śpiewem czystym i poprawnym. Nareście, nadszedł ten dzień stanowczy, a Norrit okazał się, po raz pierwszy, na scenie Opery w *Ifigenii w Taurydzie* Glucka. Pamiętny ten wieczór przypadł 9 Września 1821. Nourrit ojciec, ustąpił *w Ifigenii* swéj roli synowi, mimo to jednak, przez całe to trudne przedstawienie, dla zachęcenia go i ośmielenia ciągłą swą obecnością, przyjął na siebie obowiązek skromnego figuranta, zniżył się dla syna, aby mu tylko był pomocą w razie potrzeby. Młody debiutant odniósł najświetniejsze zwycięztwo; odbierał najhuczniejsze okla-

ski, i od téj chwili otworzył się przed nim łatwy i obszerny zawód.

W istocie, przebywszy tę pierwszą trudność, już nietrafił na żadne przeszkody, które niekiedy w prawdzie utwierdzają siły wielkich artystów, lecz téż częstokroć odstręczają ich nazawsze. Mając tylko za współzawodnika ojca, Nourrit znalazł w tém zapastnictwie ustępującego a nie walczącego współzawodnika. Z swéj strony, Nourrit ojciec częstokroć się usuwał, aby powstającéj wziętości swojego syna nieprzyćmił blasku. Nakoniec, nadszedł w krótce ten dzień w którym już mógł się obejść bez tych wszystkich względów. Natchniony własną biegłością, wsparty i kierowany, co do części dramatycznéj, radami ojca, przykładem Lainego, Laysa, Branchu, zajął pierwszy stopień jako aktor i śpiewak, przewyższył nawet nadzieje samego Garcyja. Dla tego téż, z dniem opuszczenia Opery przez ojca jego, Nourrit nastąpił po nim jedynie prawem wyższości swego talentu. Od téj chwili zacząwszy, istnienie Nourrita, w domu było ustawicznym ćwiczeniem się, w obec publiczności, ciągiem świetnych i licznych powodzeń. Przebiegłszy najważniejsze role dawnego repertoaru, jakiemi są: *Liciniusza*, *Korteza*, *Orfeusza*, doszedł do tworzenia ról nowych; téj mety wykrywającéj całą zdolność wielkiego aktora. Po *Oblężeniu Koryntu*, nastąpiła *Niema z Portici*, w któréj trudny charakter Neapolitańskiego rybaka, odbija się w tysiącznych odcieniach zemsty i tkliwości. Grze swojéj zdawał się nadawać Nourrit ostateczne piętno talentu; lecz w krótce, nowa rola, jedna z najtrudniejszych, wykryła w nowym świetle jego piękne zdolności. *Robert Diabeł* uznany został nieodwołalnie za najpiękniejszy z utworów jego, on jeden grą

swoją utrzymał *Żydówkę* w roli *Eleazara*. Nareście, z oklasków które otrzymał *Raoul* w *Hugonotach*, łatwo osądzić czy ten wielki aktor, pozostał w tyle za swemi poprzedniemi laurami.

Doszedłszy do tego stopnia wziętości, już należało się spodziewać, że prace Nourrita ustaliły go zupełnie w Operze, gdy razem w jednéj chwili, dowiedziano się o opuszczeniu sceny przez niego i o wystąpieniach Dupreza. To postanowienie Nourrita rozmaicie było tłomaczone, 'jedni ganili jego skromność, drudzy posądzali o zbyteczną miłość własną. Podług mnie oddalenie to było tylko czynem delikatnéj przyzwoitości. Nourrit chciał zostawić wolne pole nowo występującemu, niewyrzekając się jednak późniéj uzupełnić swą osobą ogół Wielkiéj-Opery. Być może że pragnął uniknąć walki, któréj niepewny wypadek nader byłby przykrym dla tego coby wniéj uległ, choćby to nawet był sam Duprez. Lecz publiczność przyjąwszy z uniesieniem ucznia Chorona, niezapomniała i wychowańca Garcyi. Jakikolwiek wreście był powód oddalenia się jego, widoczny żal jaki publiczność okazała przy odjeździe Nourrita, mógł przekonać, ile talent jego ceniono.

To uwielbienie, znajdował on w swoim przejeździe przez całą Francyą, opuściwszy stolicę, kolejno przebywał w Ruen, Lyonie, Bordeaux, i wszędzie odbierał też same oklaski. Dotąd przebywał jeszcze w kraju; lecz gdy się dowiedziano że odjeżdża do Włoch, żal powszechny ogarnął wszystkich, przeczuwano niejako że już go więcéj nie ujrzą. W Medyolanie i Florencyi, był przyjęty z prawdziwym uniesieniem. Zaledwie przybył do Neapolu; natychmiast zakontraktowanym został przez pana *Barbaja* do Teatru San Carlo, występując w Normie, otrzymał od Neapolitańczyków przyjęcie jakiego niepamiętano równego od debiutów pani Malibran. Mimo jednak tych powodzeń, symptomata słabości nerwowéj, zaczęły się w nim okazywać kiedy niekiedy zgwałtownością, a utrudzenia i wzruszenia teatralne, dopomagały jeszcze bardziéj do większego ich rozwinięcia. Napróżno, za wnijściem swoim na scenę, widział ręce wszystkich oklaskujące go, wszystkie spojrzenia ku sobie zwrócone, oczy jego zalały się łzami, bowiem tęsknota boleśnie mu pierś i serce cisnęła. Wśród tych ciągłych wzruszeń i tęsknoty, nadszedł fatalny dzień ósmy Marca roku bieżącego.—Występował tego wieczora, a z rana miał tak gwał-

towny paroxyzm nerwowy, że pani Nourrit błagała aby odłożył widowisko. Lecz on przyrzekł grać, a jako ścisły wykonywacz danego słowa, udał się do teatru, śpiewał lepiéj niż kiedykolwiek i był przyjęty z jednomyślnem uniesieniem. Nieprawdą jest, że się dało słyszeć gwizdnienie czyli też sykanie. Nourrit powrócił do mieszkania, strudzony i cierpiący, od dwóch miesięcy stracił sen, a częstokroć całe tygodnie mijały, że nawet na kwadrans niemógł się zdrzymać. Téj nocy szczegolniéj ani oka niezmrużył, wstał około czwartéj nad ranem. Żonę to nie dziwiło, bo zwykle o téj godzinie wstawał dla ćwiczenia się w muzyce, lub też czytania nabożnych książek.—»Czy nierozpalisz sobie ognia? zapytała go: — Nie, odpowiedział i nagle wyszedł z pokoju. Kilka chwil upłynęło, pani Nourrit, niespokojna, wstała a przeszedłszy kilka pokoi we wszystkich znalazła drzwi roztworzone, przybywszy na korytarz ujrzała okno roztwarte... straszliwe przeczucie ogarnęło ją: wyjrzała na dziedziniec i zobaczyła... Ciało męża bez duszy rozciągnięte. Zdaje się, że Nourrit, otworzywszy okno dla nabrania świeżego powietrza, owładnięty został nagłym napływem krwi na mózg, w skutku bezsenności i ciągłego draźnienia. Nawet przypuściwszy że myśl samobójstwa ogarnęła go, to jako bogobojny, znoszący z cierpliwością przykrości swéj sztuki niemógł jednak wykonać tego straszliwego zamiaru przy żonie i dzieciach, które niezmiernie kochał i wychowywał z taką pobożnością... Lecz gdyby jaka wątpliwość jeszcze zachodziła, to list znaleziony na stole Nourrita, a pisany w wilią dnia tego do Cherubiniego, dostatecznym jest dowodem że śmierć tego wielkiego artysty jest skutkiem przypadku, paroxyzmu gorączkowego, a nie samobójstwa. W nim bowiem donosi Dyrektorowi Konserwatorum o bliskim swoim powrocie do Francyi. — Umowa jego z administracyą teatru San Carlo za dwa dni się kończyła! — »Nie mianujcie nikogo dodał: na moje miejsce jako professora konserwatorium; spodziewam się wkrótce znów objąć te obowiązki, pożerany bowiem jestem żądzą ujrzenia znów Francyi. *W. S.*
